

Opowiadania greckie

**Anna
Kowalska**

Anna Kowalska

OPOWIADANIA GRECKIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-03-0

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1956

Copyright (C) Cezary Gawryś

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

SPIS RZECZY

NA STATKU

AMALIA I ALEKSANDER

WDOWA

WIELKI PRZEDRZEŹNIACZ

ZIARNO SZALEŃSTWA

WIELKA KALAVRYTA

POPOŁUDNIE W TIRYNSIE

IDYLLA W NAUPLII

PANAJOTIS

REKRUCI Z WYSPY PAROS

BIGAMISTA

MAGIA

NA CMENTARZU W TEBACH

NATRET

WIERNA SŁUGA

U FRYZJERA MAMASA

NA STATKU

Adriatyk szalał poprzedniego dnia, jakby chciał dać świadectwo wierszom Horacego, i teraz wciąż jeszcze morze waliło w molo, wzdłuż którego uderzały o siebie z trzaskiem liczne łodzie. Uciekliśmy od tego widoku i hałasu do winiarni, aby pokrzepić serca winem, ostatnim w Italii.

Przy stole, w grupie marynarzy, siedział chłopak grecki niezwykle urody; pijąc marsalę patrzyliśmy na niego z rozmarzeniem, z jakim się patrzy na kwiat lub owoc z obcego kraju, myśląc o ziemi i niebie, na której zakwitł i pod którym dojrzał.

Wyszedszy z winiarni pożegnaliśmy oczyma kolumnę znaczącą tu, w Brindisi, koniec Drogi Apijskiej; początek tej Drogi oglądaliśmy pół roku temu u bramy Rzymu.

Podróż jest przyjemnością podobną do spożywania szlachetnego owocu; gdy pachnący, soczysty owoc odświeża spragnione gardło, nie pamiętamy, że jest on również pokarmem; podziwiając dzieła sztuki nie czujemy, że równocześnie uczymy się, tak doskonale trud poznania utajony jest w zachwycie.

Stojąc na pokładzie statku, rzuciliśmy w wygładzoną taflę wodną garść włoskich miedziaków, pozostałych po zmianie pieniędzy. Opuszczałam Włochy z jakimś poczuciem rozczarowania, że oto nic więcej się nie wydarzyło oprócz podróży. Nasi dawni przyjaciele włoscy umarli lub rozbiegli się po świecie, nie zyskaliśmy nowych. Sam Rzym wielkich wykopalisk nie był już Rzymem mojej młodości, nie chciałam go nawet pamiętać, tym bardziej że włókł się za mną cień rzymskiego szpicla, nieodłącznego towarzysza naszych archeologicznych wędrówek.

Wcześnie wtargnęło słońce przez okienka kajuty. Dwu starych Anglików widocznie zmarzło, nie tyle chyba z chłodu, bo słońce silnie przygrzewało, co ze starości; chodzili wkoło pokładu, przytupując na zakrętach niegorzej od wart przed Buckingham Palace.

Zajęci morzem, zauważyliśmy dopiero po chwili, że okręt płynie przechylony na bok. W porcie albańskim Aji Saranda ładowano krowy, kozy, owce i niezliczone zwoje nie wyprawionych skór. Kapitan okrętu gwizdże na postrach i daje sygnał odjazdu. Tymczasem od brzegu odbijał nowy galar z krowami, a w głębi wsi było widać, jak świniarze spędzali z chlewów nowe transporty. Komin okrętowy buchał czarnym dymem, syrena wyła, a z nią w zawody wyło bydło, kapitan wyjmował z ust gwizdek tylko wtedy, gdy przeklinał ludzi z galaru. Albańczycy nie byli mu dłużni, i tak wśród wrzasków ładowano przerażone zwierzęta. Wszyscy zdawali się być otrząskani z ceremonią ładowania i nikt nie brał poważnie gestykulacji kapitańskiej. Od windy dolatywał miarowy głos marynarza: „ma – ina”, co znaczyło maszyna. Łańcuch napręzał się, hak porywał wielką sieć z worami, skrzyniami, świniami. Chwilę kręcił się ten ładunek w powietrzu i zjeżdżał w otwór w pokładzie. Krowy wpychano drągami i bez czułości w luk.

Wreszcie statek ruszył, pasażerowie porozkładali się na leżakach. Stary, otyły kupiec kazał przypiąć swoją wizytówkę do leżaka i rozłożył się w cieniu pod mostkiem kapitańskim. Od rana jadł nie patrząc na nikogo z obecnych na pokładzie. Od czasu do czasu wyciągał ręce, żona pochylała się ku niemu z gąbką i ręcznikiem, po czym siadała na stołeczku u jego nóg i patrzyła uważnie na wielkie, ospałe oblicze męża. Gdy tylko ruszył głową, wyciągała z koszyków czystą serwetę, wiązała ją mężowi pod brodą, po czym wtykała w ręce kawałki pieczonej baraniny, by po chwili znowu przemywać mu ręce gąbką. Nie patrzył na nią, nie odzywał się słówkiem, ale oto wyczytała w jego twarzy, czego pragnie, bo rzuciła się pośpiesznie do koszyka, wyjęła ogromną gruszkę, obrała ją, coraz to podnosząc oczy na męża, czy nie gniewa się, że nie dość go szybko obsługuje, wreszcie obrane kawałki gruszki wkładała mu do ust.

– Wstrętna kobieta – powiedział z obrzydzeniem Sadowski i otrząsnął się cały.

– Dlaczego wstrętna, Jarku? – wybuchnęła pani Tina. – Dlaczego on – tym razem zwróciła się do mnie – nazywa dobre, kochające kobiety wstrętnymi? Czy wy, Polacy, wszyscy tak uważacie?

Sadowski wykonał jakiś ruch półukłonu, powiedział coś, co mogło brzmieć jak „przepraszam”, i powędrował na swoich długich nogach do baru.

Zostałam w kłopotliwej sytuacji, bo oczywiście nie o to chodziło, czy młoda żona otyłego kupca jest wstrętna, czy nie, ale o to, że Sadowski po raz trzeci od Brindisi stracił cierpliwość. Po każdym wybuchu zniecierpliwienia i tajonej niechęci pani Tina brzydła i starzała się. Na nikogo zresztą nie padało tyle sadzy z komina, co na nią, jej spocona i zbyt umalowana twarz cała była w kreski i muszki, a kosztowna jedwabna sukienka wyglądała okropnie.

Poznaliśmy Sadowskich za pierwszym naszym pobytem w Atenach. Tina wychowała się w dostatkach – ojciec jej był ministrem za ostatniego króla – na wakacje jeździła do Szwajcarii, studiowała muzykę w Niemczech. Skończyła dziewiętnaście lat i właśnie zastanawiano się, który z bogatych młodzieńców ateńskich nadawałby się dla niej na męża, kiedy w rosyjskim kabarecie poznała nie pierwszej młodości śpiewaka. Jarosław Sadowski, opuściwszy Rosję po rewolucji, biedował z innymi emigrantami najpierw w Konstantynopolu, a potem w Atenach. Jego nędza, uroda i duma podzialały na jej wyobraźnię. Postanowiła go ocalić – dla siebie. Zmusiła swego stryja, posiadającego warsztaty okrętowe w Pireusie, aby go przyjął do pracy, wierzyła, że Jarek wszystko potrafi. Po miesiącu oczarował całe biuro, stryja, a powoli i resztę rodziny Tiny. Kobietom w rodzinie podobało się, że zapraszał zawsze którąś ze starszych ciotek, gdy się wybierali z Tiną do cukierni. Jeśli Tina proponowała kino, nalegał, by dwie ciotki im towarzyszyły. Pewnego dnia Tina zapytała, czy coś stoi na przeszkodzie, by się z nią ożenił. Przyjrzał się jej uważnie, pocałował w rękę, a potem wyznał, że nie może jej kochać, nikogo nie może pokochać po stracie narzeczonej, która jego serce zabrała do grobu. Na koniec dodał, że jeśli mimo to Tina ma odwagę związać się z nim, to on się nie wzbrania.

Tina odetchnęła. Ktoś, kto nie żył, nie mógł być niebezpieczny. Podobało jej się nawet, że pozostawał wiernym swojej pierwszej miłości, wróżyło to raczej dobrze; nie wierzyła, aby nie udało jej się nauczyć go być z nią szczęśliwym. Gdy po ślubie poskarżył się, że nie może z nią rozmawiać po polsku, wzięła nauczycielkę i uczyła się z zapalem. Po roku przeczytała „Faraona” Prusa z zajęciem, znała bowiem Egipt, jego historię i sztukę; trudniej poszło z Trylogią Sienkiewicza. Jarek twierdził, że przeczytał ją kilkadziesiąt razy; istotnie, ledwie kończył, zaczynał na nowo – nie czytywał bowiem nic innego. Tina uważała Trylogię za Biblię Polaków. Czekala z napięciem, kiedy będzie mogła o tym z nim porozmawiać, wreszcie odważyła się. Wzruszył się i nawet ją pocałował, ale gdy wyznała, że najciekawszym dla niej bohaterem jest Azja, wybuchnął śmiechem, wprost płakał ze śmiechu, wreszcie stanął naprzeciw niej, położył ręce na jej ramionach i ścisnął tak mocno, że jęknęła: – I ty odważyłaś się zostać żoną Polaka! Czemu nie zakochałaś się w jakimś Turku?!

Obelga była podwójna. Tina zrozumiała, że zniszczyła sobie życie. Nie miała odwagi porzucić męża i wrócić do rodziców. Chodziła do spowiedzi, do wróżek, do psychiatrów, radząc się, jak się wyzwolić z miłości. Tymczasem żyła.

Nim dopłynęliśmy do Korfu, pani Tina zdążyła mi opowiedzieć jeszcze raz to, co już dobrze znałam, a nadto wyliczyć swoje nowe zgryzoty. Mimo tylu rozczarowań wciąż żyła nadzieją, że w końcu stanie się cud i coś się w sercu jej męża odmieni.

Gdy wreszcie dojechaliśmy do Korfu, była popołudniowa godzina. Słońce nadawało zieloności dziwną przezroczystość głębokiej wody, jakby przeświecało ziemię od spodu. Na okręt wtargnęli przekupnie z ptaszkami w klatkach, z haftami i rzeźbionymi laskami. Gromada szoferów wykrzykiwała z brzegu ceny za przejażdżkę do Achilionu. Woźnice na

kozlach dorożek wybierali sobie batami pasażerów stłoczonych na pokładzie i wzywali ich do zejścia na ląd. Pierwsze greckie dzienniki i papierosy posypały się na pokład.

Okręt sunął teraz wśród wysp o jaszczurowatych grzbietach pokrytych zaroślami. Tuż nad wodą bieleły się wśród zieleni domki zapatrzone oknami w morze. Tu gdzieś był kraj homerycki, błogosławiona kraina Feaków.

W miarę jak płynęliśmy, powietrze stawało się coraz przezroczystsze, morze marszczyło się krótkimi falami. Pasażerowie zapadali w długą drzemkę albo leniwie patrzyli w morze.

Gdy pani Tina poszła do kabiny się przebrać, Sadowski usiadł koło mnie chmurny i podniecony.

– Czy pani rozumie, co to za męka nie móc kroku zrobić, żeby Tina zaraz się przy mnie nie znalazła, nie móc przejrzeć gazety, żeby dziesięć razy nie spytała, co ciekawego czytam?! Gdy jem, wpatruje mi się w usta, aby zgadnąć, jak mi smakuje, gdy... nie, to nie do wytrzymania musieć się wszystkim zachwycać, nie żyć, tylko się zachwycać życiem. Musieć bez przerwy być szczęśliwym i mówić o tym bez przerwy. Wystarczy, żebym przystanął przed wystawą sklepową i powiedział: „O, ładny krawat” – już pędzi, kupuje. Raz siedzieliśmy w cukierni, wszedł jakiś pan z dogiem, pięknym, popielatym dogiem. Mówię: „Ładny dog”. – Nieopatrny! Po dwóch dniach już przyszedł do domu z dogiem. Proszę wyobrazić sobie moje przerażenie! Zna pani naszą wilijkę, małe pokoiiki przeładowane bibelotami i w tych pokoikach dog, wielki jak stół. Czy to sens? Oczywiście płacz, łzy, że jestem okrutny.

– Ale to chyba najmniejsza wina, gdy żona kocha męża – broniłam nieobecnej.

– Ach, pani! Być kochanym, gdy się samemu nie kocha, być tak kochanym! Nie, to trzeba przeżyć. – Objął głowę rękami. – Ja wiem, co pani myśli, że jestem niewdzięczny. Dzięki niej z nędzarza stałem się człowiekiem. Wszyscy, co mnie znali, mówią: „Ten ci miał szczęście”. – Wstał i rzucił niedopałek w morze. – Rok temu wyrwałem się do rodziny w Polsce. Boże, jakie nasze dziewczęta są śliczne, dumne, wspaniałe. Te jasne, puszyste włosy, delikatne twarze. Czy pani wie, że Greczynki nie mają rumieńców, są zawsze żółte lub zielone, reszta to szminka.

– Ależ, panie Jarku, i u nas są brunetki, a tu widziałam dziewczęta piękne jak boginie.

– Pani bluźni...

Ktoś pisał przeraźliwie. Zielono-czarna jaszczurka wysmyknęła się z kosza i zniknęła pod leżakami. Młody Egipcjanin wysunął się spod pledu z wielbłądziej sierści tak wielkiego, że można by nim chyba nakryć cały pokład, i powiedział po grecku:

– Raz wchodzę do ogrodu mojej ciotki, a tu spuszcza się ku mnie z altany wąż.

Krzyknąłem i od tego czasu jąkam się, gdy jestem zdenerwowany. Są czasem strasznie mądre węże. U mojej kuzynki wąż miał małe. Służąca znalazła je i chciała zabić, ale jakoś zmieniła postanowienie i zostawiła je między oknami spiżarni, pewnie chciała je sprzedać do jakiegoś laboratorium. Wąż-matka wśliznął się do domu, szukał młodych, a nie znalazłszy ich wpelzł do spiżarni i wpuścił jad do masła. Potem jednak, odnalazłszy młode między szybami, wrócił na półkę i stracił garnek na kamienną podłogę, wylewając zatrute masło.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale Egipcjanin nie zniechęcił się i zwrócił się do sąsiada z innym opowiadaniem.

Ktoś po drugiej stronie pokładu wymieniał historyczne imiona: Kyllene, Missolunghi, gdy dzwonek oznajmił kolację.

Pani Tina przyszedł do stołu w świeżej sukni, pachnąca perfumami, prawie ładna, gdyby nie jakiś głodny wyraz oczu. Pociągnęła mnie za rękę i uściśnęła.

– Czy pani sądzi, że on nigdy nie może mnie pokochać? Jakąż to trzeba być, by mu się spodobać? Czasem boję się, że mnie nienawidzi. Czasem i ja czuję się bliska nienawiści – szepnęła namiętnie, przyciskając rękę do serca.

Obok profesor, Niemiec chudy i kanciasty, objaśniał swoim dwu leciwym towarzyszkom, że tylko Niemcy odczuwają sztukę grecką. Para malarzy Francuzów, mąż i żona, wymienili spojrzenia, wreszcie ona, nie mogąc się opanować, szepnęła: – *Ah! ce qu'il me dégoûte celui-là.* – Egipcjanin tłumaczył sąsiadom, że przyjechał do Grecji na lato, aby uniknąć upałów egipskich. Grecy rozmawiali o cenach towarów. Siedmioletni Nionio włożył sobie pestki z oliwek do uszu, obok jego matka chwaliła się sąsiadce, jak to ona pilnuje dziecka i całe mu życie poświęca. Nionio przysłuchiwał się temu z poważnym spokojem i wepchnął dwie pestki do dziurek w nosie. Młody Szwed, o twarzy sennego cherubina, z zawstydzeniem opowiadał łamaną angielszczyzną swemu greckiemu sąsiadowi, że jest przedstawicielem fabryki żarówek.

Steward postawił kosze z winogronami.

– Czy jest gdzieś kraj rodzący takie piękne owoce? – powiedziała gardłowym głosem pani Tina otaczając ramionami kosz. Ramiona były piegowate, ale gest wdzięczny. Sadowscy kilka miesięcy spędzili we Francji i Włoszech i w owocach tych pani Tina witała swoją ziemię rodzinną.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI